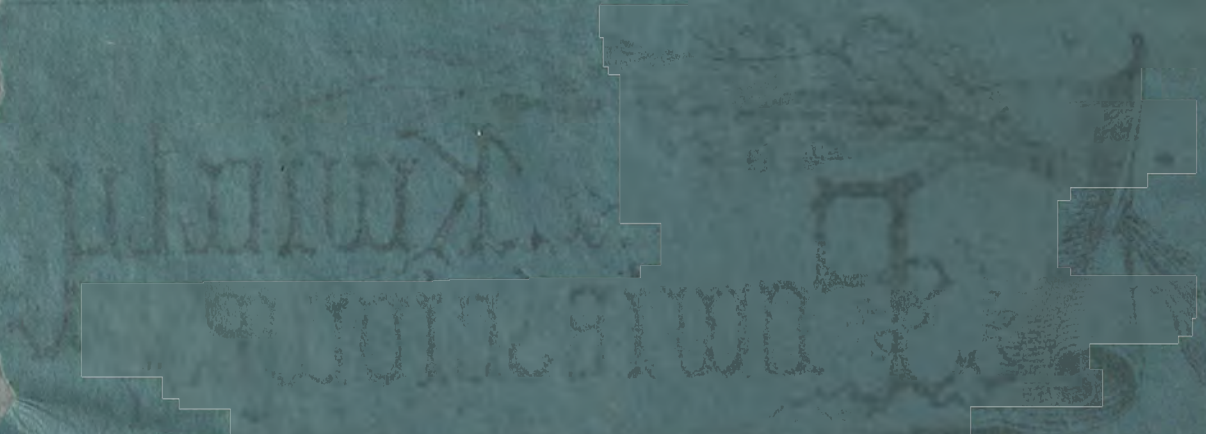


6.



Tygodnik belletystyczny

Rok 1. Mies. 1881

WYDAWCA: STANISŁAW MAJEROWSKI

Zawartość

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29	30	31	32	33	34	35	36	37	38	39	40	41	42	43	44	45	46	47	48	49	50	51	52	53	54	55	56	57	58	59	60	61	62	63	64	65	66	67	68	69	70	71	72	73	74	75	76	77	78	79	80	81	82	83	84	85	86	87	88	89	90	91	92	93	94	95	96	97	98	99	100
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	-----



Lwów 7. Marca 1886.

Tygodnik beletrystyczny. Wychodzi co niedzielę.

Przedpłata wynosi :

we Lwowie rocznie zł. 7.40 — półrocznie zł. 3.70 —
kwartalnie zł. 1.85.— Z przesyłką pocztową rocznie 8 zł.
półrocznie 4 zł. — kwartalnie 2 złr. Za granicą 16 marek.

Adres administracji:

Lwów, ulica Jagiellońska l. 16.
(Kantor „Drukarni Polskiej“).

Redaktor i wydawca **STANISŁAW MANIECKI.****MARZNAŃCE FALE.**

POWIEŚĆ

przez **WALEREGO PRZYBOROWSKIEGO.**

(Ciąg dalszy.)

Nareszcie goście zaczęli się schodzić. Najprzód przyszedł stary buchalter Millera, niemiec, nazwiskiem Lape, zasuszony i pargaminowy na twarzy, ubrany w czarny, przedpotopowej formy surdut, w stojące kołnierzyki, które podrzywały mu uszy i w wielki atlasowy halsztuk na szyi. Skłonił się pokornie Millerowi i Minie i stanął pod oknem.

— Zbliż się pan do nas, panie Lape — mówiła Mina — i siądź pan przy mnie. Czy się pan kobiet boisz? bo słyszałam, żeś się pan dotąd nie ożenił. Nie są one tak straszne, jak się wydają...

Miller rozśmiał się, a Lape zarumieniony siadł na rożku krzesła i niewiedząc co z nieszczęsnymi rękami zrobić, mówił złą, łamaną polszczyzną:

— Ja nie miał czasu ożenić się.... nigdy nie miał czasu... Pan Miller to dobrze wie, że ja nie miał czasu...

Uniewinniał się, jakby popełnił zbrodnię i pociągał nerwowym ruchem nieposłuszną i trochę przykrótką kamizelkę, uparcie podnosząc się do góry.

Potem zjawił się sam jeden Julek Zaremba. Ubrany wytwornie, jakby wycięty z najświeższego żurnalu, we fraku i z klakiem w ręku, kłaniał się zgrabnie i uśmiechał szczerze. Mówił, że przyszedł pierwszy złożyć swe życzenia Millerowi, bo nie mógł się doczekać, aż się tam panie wybiorą, że byłby to rano

jeszcze uczynił, ale wie, że Miller jest wtedy mocno zajęty i nie lubi, by mu przy pracy przeszkadzano. Brat jego przyjedzie z kobietami, które jak zwykle guzdrzą się ze strojami; że czekanie ogromnie go nudzi, że już i tak jest dość nudów na świecie, nie widzi więc racji dobrowolnego ich zwiększania.

Mina z ciekawością wpatrzyła się w wesolą, wcale nie zdradzającą nudów twarz młodzieńca, i podobała się jej bardzo jego elegancja, swoboda w obejściu i ruchach, czego dotąd nigdy nie widziała u ciężkich, gburowatych Niemców, z którymi dotąd żyła. Z zajęciem wlepiała w mówiącego o nudach na świecie Julka swe czarne, ogniste oczy, w których migotały połyski lekkiej ironji. Poczęła mu przeczyć, że świat nie jest tak nudnym jak się wydaje, że ona zresztą bardzo jest z tego zadowolona, że żyje i że jest młoda. Ta młodość mówiła ogniem i blaskiem z jej aksamitnych oczów, z jej lekko zarumienionej twarzyczki, z jej ust rubinowych, namiętnie rozchylnych, z jej nozdrzów chwyających powietrze, z jej piersi falujących rozkoszą życia i siły.

Miller zajął się rozmową z Lapem o interesach i dwoje młodych zostało samych ze sobą w tej wielkiej, pustej i mrocznej sali, po której tłukły się wielkie cienie i z której przeglądała surowa powaga. Ze ściany nad kanapą patrzyły na nich duże, spłowiałe oczy zgrzybiałej matki Millera z portretu, i zdawały



się mówić: „Cieszcie się życiem, pókiście młodzi i silni, bo niedługo tej młodości i tej siły.“

W końcu zjawił się Zygmunt Zaremba ze swą smutną, melancholijną twarzą, okraszoną w tej chwili konwencjonalnym uśmiechem; żona jego ślicznie wyglądająca w jasnej, złocistego koloru sukni, ze zwojami swych przepysznych blond włosów, z majestatem swej okazałej postaci. Przy niej dreptała panna Karolina, skromniutka, uniżona i cicha. Zaraz też pojawiła się i Joanna, zacerwieniona od ognia w kuchni, jak zawsze surowa i poważna, ale grzeczna i zimna w obejściu. Przyszło jeszcze parę kobiet, znajomych Joanny; Niemki, stare i brzydkie, ubrane nieśmacznie i pretensjonalnie.

Usadowiono się koło dużego stołu i gwarzono. W całym tem zebraniu panował niemiły chłód i sztywność mieszczańska. Kobiety oglądały się wzajemnie i krytkowały w myśli swe stroje. Rozmowa co chwila urywała się i ciężko nawiązywała, by znów za chwilę ustać. Robiło się wtedy kłopotliwe milczenie, tylko Julek i Mina, oddaleni nieco od stołu, przyćmieni cieniami dużej sali, wiedli żywą między sobą rozmowę, trochę przytłumioną i przerywaną co chwila wesołym, srebrnym śmiechem młodości. On ciągle i uparcie twierdził, że świat jest nudny, bardzo głupio stworzony i oparty na zasadach wysoce niemoralnych. Że Bóg, jeżeli istnieje jako coś odrębnego i samoistnego, jest strasznym Bogiem biblii i ludów pierwotnych. Że w wszechświecie istnieją tylko dwie zasadnicze siły: siła tworzenia i siła zniszczenia, że siły te ciągle walczą, ścierają się z sobą i nigdy się pokonać nie mogą, że ta walka ciągła, nieustanna i bezwzględna, jest właśnie faktem wysoce niemoralnym, złym i powodującym tę głęboką, ponurą niedolę wszystkiego co żyje.

— Czyż nie lepiej było — mówił — tworząc świat, stworzyć go takim, by nie w nim nie walczyło i nie niszczyło się wzajemnie? Czyż nie było daleko moralniejszym nadanie wszechbytowi spokoju, niczem niezamączonej ciszy i możności rozkoszowania się życiem? Po cóż są te brutalne stosunki tworzą z tworem, te nieustanne, straszne, posępne swą fatalnością walki? Po co w głębi każdej istoty, nie wyjmując i najbardziej ucywilizowanego człowieka, tkwi ponura dążność do niszczenia? Nie, pani! może to wydać się nie bardzo rozzumem, ale gdybym ja świat stworzył, stworzyłbym go daleko lepiej i daleko uczciwiej.

Mina słuchała tych całkiem nowych dla niej myśli z niesłychanym zajęciem. Ponury pesymizm młodzieńca przenikał do jej duszy, raniąc ją głęboko, ale zarazem napawając ją pewnym urokiem rzeczy nieznanego, powabem nowości. Nie mogła, nie umiała nic znaleźć w swej główce, czemby zdołała odeprzeć lub osłabić zdanie młodego Zaremby. Wydawały się jej one logicznymi i prawdziwymi, a choć były smu-

tno, bardzo smutne, niestety, były one jednak wynikiem istotnego stanu rzeczy.

— Więc cóż robić wobec tego wszystkiego? — zapytała.

— Życ i używać życia dopóki można, wypić jego rozkosze do dna, nawet z mętami, a potem.... potem zapaść w nicość nieskończoności.

Julek tak był zajęty swą nową znajomością, której czarne oczy paliły go nawskróś, której namiętne usta zdawały się zapraszać do pocałunków, że nawet nie spojrzał na swą złotowłosą bratową, do której niedawno wdychał. I podczas gdy przy wielkim stole kumoszki oglądały się wzajemnie i krytkowały, tutaj w cieniach tej surowej i zimnej sali, do duszy młodej dziewczyny, ale pragnącej użycia, którego rozkoszy nie znając jeszcze, przeczuwała jednak doskonale, wsączał się powoli jad strasznego, szarego pesymizmu i pogardy dla wszystkiego co stworzone.

VII.

Szybko zmieniało się życie w domu starego Millera. Było tu teraz weselej, pulsa jakos żwawiej tętniły z przybyciem tej młodej dziewczyny, która zdawało się, wypędziła wszystkie atomy smutku z domu. Teraz prawie co drugi dzień zaglądał tu Julek Zaremba i Mina też często w domu jego brata bywała. Rozmawiali zawsze o źle stworzonym świecie, o gorzej urządzonej ludzkości i przejmowali się pesymizmem wieku na wskróś. On już całkiem zapomniał o swej bratowej, a myślał tylko o tej dziewczynie ognistej, patrzącej weń swymi wielkimi, czarnymi oczyma, chwytającej jego słowa jak coś nowego dla siebie i mającego w sobie cały urok rzeczy nieznanego a tajemniczego.

Podobała się ona zresztą wszystkim w domu Zarembów, zyskała nawet serce panny Karoliny. Ta ostatnia zwała ją „przylepeczką.“ Była też nią do pewnego stopnia. Ze zręcznością dziecka wychowanego w ubóstwie i zależnego od ludzi, umiała ona wyszukiwać słabe strony tych ludzi i grać na nich jak na skrzypcach.

Millera zupełnie opanowała. Począwszy od pantofli, które przynosiła mu, gdy przyszedł ze sklepu do domu, i od cygara, które mu sama obcinała i podawała, trzymając w drugiej ręce gotową zapalną, a skończywszy na porządkowaniu jego pokoju, na mnóstwie zresztą drobnych usług, które uprzyjemniają pobyt w domu, a do których Miller przez swoją surową siostrę nie był przyzwyczajony; wszystko to robiła z uśmiechem, wesołością, swobodą i postawą, która zdawała się mówić: nie uwierzysz, jaką mi to przyjemność sprawia.

Miller niekiedy wieczorami wychodził do swych znajomych na partję pikietę lub szachów, ale częściej siedział w domu, w swym pokoju, zajęty studjami

nad wynikiem mieszania się ras ludzkich. Miał on zawsze pewien pociąg do nauki i przedmiot ten żywo go zajmował. Po bracie, który był lekarzem w wojsku pruskim i umarł w młodości na tyfus, pozostała mu ładna biblioteka lekarska, którą Miller w razie potrzeby dokompletowywał. Biblioteka ta stała w szafach otwartych w jego pokoju i najczęściej spędzał on tam wieczory w pantoflach i szlafroku, zajęty czytaniem lub pisaniem.

Pokój ten był podłużny i znajdował się nad kantorem przy sklepie. Jedno jego okno wychodziło na plac Staromiejski i źle oświetlało tę komnatę, obitą ciemnym papierem, zastawioną szafami. Mina porządkując go, wprowadzając pod okno trochę kwiatów i zieleni, spostrzegła, że na książkach leżą grube warstwy kurzu, nietkniętego od dawna, gdyż Miller siostrze, nielubiącej książek, bo rozmnażają one w domu myszy i mole, nie pozwalał dotykać się biblioteki. Zwłaszcza górne półki, do których widocznie właściciel rzadziej zaglądał, pokryte były grubą warstwą kilkuletniego może pyłu.

Nie mówiąc nic Millerowi, zajęła się Mina porządkowaniem biblioteki, starając się każdy tom po oczyszczeniu wstawić w to samo miejsce gdzie był przedtem. Zajmowała ją ta robota. Zaglądała do wnętrza każdej książki, czytała tytuły i czasem zainteresowana, przerzucała kilka kartek. Były to przeważnie dzieła lekarskie, dawniejsze; smutna spuścizna po wcześniej zmarłym lekarzu. Nie przedstawiały więc one w gruncie rzeczy nic zajmującego dla młodej dziewczyny. Kilka romansów, które znalazła, dawniej już czytała. Biblioteka więc nie mogła jej bardzo zająć, czego ona szczerze pragnęła, gdyż Joanna nie dawała jej nic do roboty, jak gdyby chciała tem wskazać dziewczynie, że jest w tym domu niepotrzebna, że darmo chleb cudzy zjada.

Mina więc nudziła się po trochu w tym domu dużym, pustym i ponurym. Niekiedy całymi godzinami siedziała w swym pokoiku zapatrzona w brzydkie plamy na murze, który się wznosił wprost jej okna, lub na skrawek owego błękitu, który widniał u góry, zamysłona nad zdaniem, pełnemi grobowych widm, młodego Julka Zaremby. Częściej jednak myślała o nim samym, ale ze spokojem dziewczyny, którą życie nauczyło wiele i kazało milczeć sercu.

Oczyszczenie więc biblioteki Millera było jednym z zajęć. do którego wzięła się z musu, z nudów, w braku czego innego, polykając pył starych papierzysków, brudząc swe małe, białe ręce. Ale pewnego razu, w brzydki dzień zimowy, pokrywający pół pokoju Millera posępnymi cieniami, uderzający w szyby płatami miękkiego śniegu, znalazła u samej góry półek zasunięte w kącie i okryte grubą warstwą kurzu dwie książki, które gdy otworzyła i przerzuciła w nich parę kartek, okryły jej twarz, szyję i nagie po łokcie ręce purpurą krwi... Z krzesła, na którym

stała, obejrzała się trwożliwie po całym pokoju, zawałała się przez chwilę, zamknęła książki i chciała je ustawić na swoje miejsce... ale zmieniła zamiar, zeskoczyła z krzesła, obmyła ręce i usiadła przy stole, kładąc przed sobą owe książki.

Pierwszą z nich był romans francuski z końca przeszłego wieku p. t. „Przygody kawalera Faublas”. w przepysznym wydaniu ze stalorytami, przedstawiającemu w sposób jasny i wyraźny najdrażliwsze awantury owego kawalera. Druga była książka niemiecka, lekarska, której treść stanowił opis najtajniejszego aktu życia ludzkiego, aktu sądzonego tutaj ze stanowiska lekarskiego i społecznego. Do książki dołączonych było wiele rycin anatomicznych.

Zrazu przeglądała je z drżeniem, z palącym rumieńcem wstydu na swej twarzy, z obawą, by ją kto nie zeszedł. Oglądała się co chwila z trwogą i najmniejszy szelest przestraszał ją, głośniejsza rozmowa na ulicy zmuszała ją do zamknięcia książki. Po jakimś czasie, z wyrazem obrzydzenia na twarzy, zamknęła książkę i skoczyła na krzesło, chcąc dzieła włożyć na swoje miejsce, ale chęć zbadania tajemnic złego i dobrego, ciekawość kobieca wzięła górę, zesłała powoli na ziemię, siadła i znów czytała. Nie ruszyła się z miejsca, dopóki stary zegar w pokoju Millera nie wyjęczał i nie wyskrzypiał dwunastej, to jest godziny, w której kupiec przychodził na górę na obiad. Podniosła się, przetarła ręką czoło i twarz, która ją paliła, do której krew falami przypływała, książki złożyła i pobiegła z nimi do swego pokoju, aby je tam ukryć. Głowa mocno ją bolała i w umyśle jej powstał straszliwy zamęt, chaos pomieszanych pojęć i wyobrażeń. Olśniewało ją olbrzymie pole nowych widoków, zmysły zadrażnione niemi, krew dotąd zimno płynąca po swych arterjach wobec ubóstwa i troski o jutro, teraz dobrze odżywiona, budziła się i wrzała lawą. Tajemnice dotąd odczuwane tylko, tajemnice bytu znane powierzchownie, odkrywały się przed nią z tych dwóch książek w całej swej nagości, w całej swej naturalnej prostocie i brzydocie. Przypominała sobie zdania Julka Zaremby i poczęła teraz dopiero pojmywać całą ich doniosłość. Zrozumiała co znaczy: używać! I wobec drugiej strony jego pesymizmu, wróżącego nicosć tam, po za grobem, mówiła sobie, że jeżeli tak jest istotnie, to Julek ma rację, mówiąc, że życia należy użyć, bo jest krótkie i jedyne. Jeżeli tu się wszystko kończy! A dla czegożby nie miało się kończyć? Wszak teraz przekonała się, że na tym świecie nie odbywają się wcale pojedyncze i ciągle akta stworzenia za wpływem kogoś stojącego po za światem, że natura obchodzi się doskonale bez tego kogoś, że jego interwencja jest niepotrzebna, że zatem i śmierć jest tylko aktem naturalnym, prostą zmianą formy, niczem więcej...

— Ach! — mówiła sobie, ścisnąc pulsa szalenie bijące jej w skroniach — jak to wszystko dzi-

wnie, jak rozumnie jest urządzone. Nieprawdę głosi Julek, że świat jest głupio stworzony, przeciwnie, ja widzę tu wielki, niepojęty, niedościgniony rozum.

Umysł jej z natury bystry, wyćwiczony przez ubóstwo, pracował usilnie, głęboko, chcąc jakiś porządek zaprowadzić w chaosie nowych pojęć, jakie tam wniosły dwie przypadkiem znalezione książki. Studjowała je teraz namiętnie, z wzrastającą ciekawością i żądzą zbadania wszystkiego do dna. Przeglądała ryciny anatomiczne, wszystkie szczegóły i zastanawiała się głęboko nad tajemnicami płci. Nieraz całe noce przepędzała nad temi książkami. Szukając teraz lepiej w bibliotece, znalazła inne książki lekarskie, mówiące o tym przedmiocie, wzięła sobie anatomję, a choć nie wszystko w niej rozumiała, choć musiała się borykać z technicznymi wyrażeniami, będącemi dla niej nowością, przecież domyślała się wiele, odgadywała jeszcze więcej. Młoda krew, podniecana w ten sposób w niej ciągle, gorąca z natury, wrzała i kipiała. Zmysły uszione przez ubóstwo, przez nieświadomość, przez myśl o chlebie, zbudziły się teraz silne, szalone, namiętne.

Julek przychodząc do niej, zastawał ją rozgorączkowaną, dziwnie śmiało wygłaszającą zdania, prawiącą o wszystkim ze spokojem, bez rumieńca, z zuchwalstwem niewinności niepojmującej, nie widzącej nic zdrożnego w tem co mówi. Zastanawiało go to i czyniło śmiałym w obejściu z nią. Jej piękność rosnąca z każdym dniem, jej kształty dotąd szczuple, chude, w skutek spokoju i dobrego odżywiania zaokrąglały się, wypełniały, budziły w nim żądzę gwałtowną.

Ciągle sam na sam w tych cichych, pustych, mrocznych pokojach, gdyż Joanna bardzo rzadko się pokazywała, zostawiając Minie zupełną swobodę działania, dodawała ognia i uroku temu stosunkowi. Mówili ze sobą wiele, śmiali się, żartowali, a gdy raz Julek rozgorączkowany uchwycił ją za białe ręce i począł je okrywać gorącemi pocałunkami, zarumieniła się jak wiśnia, wyrwała ręce, otworzyła szeroko swe duże, czarne oczy i przerażona tym stosunkiem, który się jej dotąd wydawał tak prostym i naturalnym, uciekła do siebie i więcej się tego dnia nie pokazała młodemu Zarembe.

Raz znów, w parę dni po owej ucieczce, przyszedł Zarembe rano i szukając Miny po całym domu, znalazł ją w bibliotece, zajętą oczyszczaniem ostatnich już półek. Stała na krześle w krótkiej spódniczce, ukazując maleńkie nóżki w różowych pończochach i pantofelkach z aksamitu czarnego z purpurowemi kokardami. Ręce miała obnażone po łokcie, ręce już teraz nie chude, ale pełne rozkosznej okrągłości, białe, twarde jak marmur. Ujrawszy Zarembe, zarumieniła się jak róża i rzekła:

-- Po co pan tu przyszedłeś? proszę sobie iść! jestem nieubrana, jak widzisz.

Mówiąc to, gwałtownie ściągała rękawy sukienki.

-- Ślicznie pani dziś wygląda. Ach! po co pani zakrywa swe rączki.

Nie nie odrzekła, ale z pospiechu upuściła książkę, która potoczyła się pod stół. Skoczyła po nią, skoczył i Zarembe; nie chciała, by zobaczył co to za książka, gdyż było to studjum o chorobach kobiecych, które chciała wziąć do przeczytania. Już teraz powoli ogarniał ją tajemniczy wstyd przed tym młodym człowiekiem, w którym widziała jak burzą się żądze.

Skok był tak nieszczęśliwy, że zaplątała sobie nogę w dywan leżący pod stołem i upadła na wznak, a na nią upadł Julek. Zerwali się żwawo i odsunęli od siebie. Ona oblana cała purpurą krwi, on ciężko oddychając. Mina nie wiedziała co ze sobą zrobić, chciałaby się ukryć gdzieś głęboko, uciec przed temi niebieskimi oczami młodzieńca, które paliły się ogniem żądy, gniewała się na siebie i na niego.

-- Czego pan tu chcesz? po co pan tu przyszedłeś? -- zawołała nakoniec z uniesieniem swojej ognistej natury -- proszę się usunąć, bo chcę wyjść.

Zastąpił jej drogę i dysząc namiętnie, głosem przerywanym, przytłumionym mówił:

-- Po co przyszedłem? Pani chcesz wiedzieć? Ja panią kocham nad życie!...

Zarumieniła się na całej twarzy i szyi. Nic nie mówiąc i zakrywając oczy, uciekła. (C. d. n.)

Kwiat szczęścia.

(Ciąg dalszy.)

-- Jesteś pan zapewne synem tego... tego pana Eberhardta? -- wypowiedziała Andzia gniewnie, mierzając oczyma skulonego ze strachu Gilberta.

-- Nie łaskawa pani! jestem jego asystentem! -- wyjąknął Gilbert, strojąc komiczną minę, która rozbroiła po części zirytowaną pannę Rehfeld.

-- Tem lepiej dla pana! -- bo być synem takiego potwora jak ten pan... tam!...

Gilbert oniemiał z przerażenia i ogłędął się trwożliwie dookoła, czy nikt oprócz niego nie słyszał epitetu jakim uczęstowało rozgniewane dziewczę wszechwładnego pana profesora.

Niewolnicza uległość do której przywykł wobec swego pryncypała nakazała mu nawet w tym wypadku, chociażby biernie zaprotestować przeciw śmiało wypowiedzianej niepochlebnej o nim opinii.

-- Ależ pani dobrodziejko! pan doktor Eberhardt jest świecznikiem pomiędzy lekarzami...

-- W takim razie nie zazdroścę stanowi lekarskiemu takiej powagi. Pański doktor podobny do niedźwiedzia, któryby najchętniej pożarł z kośćmi

każdego zgłaszającego się o poradę... Nie wiele brakowało, że mnie nie polknął, tylko Henryk mu przeszkodził. Podobnego przyjęcia nie doznałam w życiu! To szkaradnie! — wyrzucało dziewczę prawie jednym tchem i rozplakało się na dobre z gniewu i oburzenia.

Gilbert znał dobrze sposób obchodzenia się swego pryncypała, nigdy jednak dotąd nie zastanawiał się nad tem, tem mniej odważyłby się był poddać krytyce zwyczaje i obyczaje wszechpotężnego profesora, ale na widok łez spływających po ślicznej twarzy panny Rehfeld oburzył się do żywego i pierwszy raz w życiu ośmielił się stanąć przeciw niemu.

— Tak! to haniebnie! — wyrzekł z zapalem.

Andzia spojrzała z uwagą na młodego asystenta i z po za łez wy dobył się łagodny wyraz podziękia za współczucie, które dostrzegła na twarzy Gilberta.

— Jesteś pan także lekarzem?

— Doktor Gilbert do usług — odpowiedział zagadnięty.

— Mam zaufanie do pana panie doktorze...

Gilbert skłonił się na tak pochlebne wyznanie, ale nie bez pewnego przerażenia usłyszał, że Andzia żądała od niego podjęcia się kuracji przybranej swej matki.

— Miej pani na względzie, że dotychczas zbywa mi na praktyce, nie odważyłbym się więc...

— To nic nie szkodzi! Jestem pewną, że pan nierównie więcej umie od tamtego potwora! Czy zabawisz pan tu przez całe lato?

Gilbert potwierdził zapytanie i nie wiedział nawet jakim sposobem zawiązała się dalsza rozmowa podtrzymana przez Andzię z zajęciem. Odpowiadał na zapytania rumieniąc się, odważył się narreszcie poruszyć jakiś ogólny temat i brnął dalej nie zdając sobie sprawy dokąd go to zawiedzie.

Henryk tymczasem został w jaskini dzika z zamiarem ugłaskania niedostępnego odludka — praca ta nie była łatwą.

Usłyszawszy zamiar z jakim do niego przybyła młoda para, powtórzył scenę z papą Kroneg, bez względu na łzy i prośby miluchnej dziewczeczki, która z całą nadzieją udała się do niego i szukała w jego wiedzy ratunku dla ukochanej mateczki. Stary dziwak popuścił zupełnie wodze swej dzikiej fantazji i obrzucił grubiańskimi wyrazami obydwójce. Henryk widząc na co się zanosi wyprowadził zmieszaną takim przyjęciem narzeczoną z salonu i polecił jej oczekiwać go w powozie, sam zaś powrócił do doktora i zamknąwszy drzwi za sobą usiadł najspokojniej na przeciw zdziwionego Eberhardta.

— Jesteśmy teraz sami, pomówmy więc rozsądnie — zagadnął z zimną krwią, w którą się ubroił.

— Czego pan tu chcesz? — zamruczał doktor gniewnie, spostrzegłszy, że nawet skrajne grubiaństwa nie przepłoszyły upartego młodzieńca.

— Mówiłem panu co mnie tutaj sprowadza. Wyprowadziłem tę młodą damę, żeby jej nie narażać na pańskie wyszukane impertynencje — co do mnie wytrzymam nawet podwojoną dawkę, bo znam pana z opowiadania. Wiem, że jesteś dziwakiem oryginalnym w swoim rodzaju a studjowanie wszystkiego niezwykłego sprawia mi pewną przyjemność.

— Cóż do krośset djabłów! myślisz sobie, że jestem tu dla pańskiej zabawki? — krzyknął doktor zerwawszy się z krzesła. — Kto pan jesteś? zapewne braciszek tej panny Anny Rehfeld?

— Jej kuzyn. Nazywam się Henryk Kroneg... niepotrzebnie się pan rzucasz na wzmiankę mego nazwiska. Ojciec mój doświadczył na sobie onegdaj pańskiego uprzejmego obchodzenia się z ludźmi, otóż postanowiłem sobie przyjść tutaj w jego zastępstwie — odpowiedział Henryk spokojnie, patrząc badawczo w twarz doktora.

— Gdybym był wiedział...

— Że się nazywam Kroneg, byłbyś mnie pan nie przypuścił do siebie! — dokończył Henryk.

— Możesz pan być pewny, że nie inaczej! Jesteś zatem synem tego próżnego radcy z orderami, który myślał, że po nad niego niema już ludzi na ziemi? Dziwne! czy ojciec panu opowiedział jak go przyjąłem?

— Z najdrobniejszych szczegółami, i to głównie pobudziło moją ciekawość poznać pana osobiście — odpowiedział Henryk na pół drwiąco.

Teraz Eberhardt oniemiał z zadziwienia. Wiedział, że ludzie boją się go z powodu tej szorstkości i grubiaństw, które ich obrzucał i ustalona pod tym względem opinia napełniała go rodzajem oryginalnej dumy, a tu nagle zjawia się człowiek, który dlatego właśnie wchodzi mu w drogę i nie tai wcale zamiaru, że to jedyny powód zbliżenia się do niego. Henryk zaimponował mu swem otwartem wyznaniem i może pierwszy raz uczuł się Eberhardt bezbronnym, a zdziwienie jego stopniowało się w miarę dalszego przebiegu rozmowy, rozpoczętej w tak dziwny sposób.

— Rzecz godna podziwu, że pan żyjesz w takim odosobnieniu. W stolicy stugębna fama rozniosła pańską sławę, głaszając cudowną prawie kurację księcia — prawda, że mówią o pańskiej manji nieoprawnej mizantropji i ruszają ramionami na dziwactwa.

— Tak mówią? to mnie cieszy! pozdrów pan wszystkich odemnie jak wrócisz do stolicy... Wreszcie nikomu nie do tego co i jak robię! — odrzekł doktor, ale mniej gwałtownie jak przedtem.

— Za pozwoleniem! Cierpiąca ludzkość jest w prawie zapytać pana na co użyłeś wyjątkowej wiedzy i co robisz z skarbami, które zaczerpnąłeś z dzieł dziny umiejętności! — zauważył Henryk.

— Jakie prawo? Niech mi ludzkość do spokój i nie troszczy się moją osobą tak jak ja o nią nie pytam.

— Dawniej obchodziła pana, dlaczegoż wymówiła jej teraz swoje usługi?

Pytanie to zakrawało na indagację i nikt nie poważył się dotychczas przemawiać w ten sposób do doktora. — Oniemiał na zuchwałstwo młodego człowieka, który otrząsł się nawet z zwykłych form towarzyskich i przemawiał do niego w sposób, w jaki on zwykle traktował drugich, uważając to za swój wyłączny przywilej.

— Dlaczego odwróciłem się od ludzi? Dobrze! odpowiem panu. Uprzykrzyło mi się słuchać o sentymentalno-urojonych cierpieniach i używać mojej wiedzy na podtrzymanie nędzoty jaką jest istnienie człowieka. Każda żyjąca kreatura sądzi, że jest tym punktem środkowym, około którego obraca się cały przestwór świata i że dla utrzymania jej przy życiu należy poruszyć ziemię i niebo, a tymczasem życie ludzkie nie warte szczypty tabaki. Czemu prędzej weźmie go lichy tem lepiej i korzystniej dla świata. Ludzie nie zasługują żeby dla podtrzymania ich żywota kiwnąć tym oto małym palcem. Wszyscy mają na języku: poświęcenie, miłość bliźniego i mnóstwo różnych ideałów a w gruncie są egoistami, kłamią, oszukują się wzajemnie i z gardła sobie wyrrywają kęs chleba; jeden zazdrości drugiemu tego powietrza, którem oddycha.

— Ależ doktorze! — zauważył Henryk, lecz Eberhardt przerwał mu gwałtownie i ciągnął dalej.

— Wiem, że podobnie innym młodym szaleńcom nabiłeś pan sobie głowę mnóstwem tak zwanych wyższych pojęć i zdaje się wam że te ideały leżą rozrzucone... na ziemi. Wyglądasz mi pan na takiego maniaka, ale gdy kilkanaście razy zawieziesz się na bliźnich, jak cię najserdeczniejsi przyjaciele porządnie naciągną a potem wyśmieją i wydrwią, dojdiesz do tych samych przekonań, przeciw którym dzisiaj powstajesz. Nie okłamuję cię i drugich pięknymi frazesami i mówię otwarcie, że nie dbam o ludzi i nie mnie nie obchodzi ich nędza i nieszczęście. Czynię co mi się podoba, a kto mi wejdzie w drogę spycham go na bok, to jedyna rozsądna zasada w życiu. — Znasz pan teraz moje zasady a zatem do widzenia! —

Doktor wylał całą żółć, jaka mu się zebrała w długich samotnie przepędzonych miesiącach. — Mówił z zapalem i przytem tak groźnie spoglądał na Henryka, jak gdyby go chciał spalić oczyma, ale Henryk spokojnie potakiwał pesymistycznym wywodom doktora i gdy ten skończył odezwał się:

— Przyznaję że wiele słuszności w pańskich twierdzeniach, bo sam się przekonałem niestety, że życie człowieka nie wiele warte, a ludzie to nieużyteczna gromada egoistów. — Zgadza się z panem zupełnie.

— W pańskim wieku to trochę zawcześnie! — zamruczał doktor, którego to gniewało, że Henryk zamiast mu oponować potakuje.

— Nigdy człowiek nie poczyna zawcześnie uczyć się praktycznych zasad życia — odpowiedział Henryk. — I zbliżamy się właśnie do punktu, na który obydwaj zgodnie się zapatrujemy... Po tem co mi pan wynurzyłeś nie potrzebuję się obawiać, że zachowasz w tajemnicy co mu mam powierzyć.

— Tajemnica? mniejsza z tem! wyjeżdżaj pan!

— Nie obawiaj się pan, że go zatrudnię urojenem jakim cierpieniem, chodzi tu wprawdzie o cierpienie, ale stoją w związku interesa bardzo realnej natury. Młoda osoba, z którą tutaj przybyłem, to moja narzeczona. Jest ona jedyną spadkobierczynią znacznego majątku, znajdującego się obecnie w ręku macochy, która jest cierpiącą, a słabość jest tego rodzaju, że katastrofa może nastąpić najniespodzianie.

— Co by pana niezmiernie zmartwiło! — zaśmiał się doktor szydłerczo.

— Nie inaczej! ale trudno się sprzeciwić wyrokowi opatrności! Pani Rehfeld znajduje się w kwiecie młodości, lekarze jednak twierdzą, że stan jej zdrowia jest bez nadziei i że trudno, żeby dożyła przyszłej wiosny... Nie wątpię, że i pan nie będziesz odmiennego zdania?

— Jestem zawsze innego zdania od moich wielce szanownych kolegów — przerwał doktor zerwawszy się gwałtownie z krzesła. — Tym panom się zdaje, że wzięli w wieczną dzierzawę nieomylność i oznaczają chwilę śmierci na minutę, tym czasem chory płata im figla i żyje jeszcze trzydzieści lat. Wyśmienite! nie prawdaż?

— Bez wątpienia! i dlatego właśnie radbym usłyszeć pańskie zdanie o chorej. Pojmujesz pan ile mi na tem zależy...

— Żeby co prędzej pochwycić spuściznę! — podchwycił doktor z gryzącym cynizmem.

— Nie chciej pan zapoznawać moich intencyj... — protestował Henryk, powstawszy także. — Ubolewam nad stanem zdrowia mojej teściowej, lecz jeżeli nieszczęście ma nastąpić koniecznie... a jak już powiedziałem stoi ono w związku z sprawami bardzo doniosłymi pod względem finansowym, radbym mieć pewność... profesor Mertens... zdaje mi się, że toczyliście panowie zawziętą walkę piórową pomiędzy sobą... otóż Mertens, który uchodzi za pierwszorzędną powagę w swoim zawodzie, oświadczył, że sztuka lekarska jest bezsilną w danym wypadku.

Eberhardt, który nie poznał się na misternym fortelu, który Henryk dobrze obliczył, żeby zjednać odludka dla sprawy obchodzącej go żywo, ale w kierunku wręcz przeciwnym, uderzył z całej mocy pięścią w stół i zaperzony jak kogut przebiegł kilka razy po pracowni, zaczerpnął pełną piersią powietrze i sta-

najwszy tuż przed uradowanym wewnątrznie młodzieńcem, huknął mu nad uchem:

— Proszę? pan Mertens? ta powaga, ten wszechwiedzący półbożek nie ma ratunku? Chciałbym obejrzeć pańską teściowę...

W oczach Henryka zabłysła żywa radość, ale siłą woli powściągnął wszelki jej objaw na zewnątrz i wyrzekł obojętnie:

— Chciałem pana prosić właśnie o to, ale nie wiele sobie roкуюję... jeżeli Mertens...

— Idź pan do diabła razem z swoim Mertensem! — wrzasnął Eberhardt. — Jutro jestem u pani Rehfeld!

— Bądź pan przekonany o mojej wdzięczności, ale jeszcze jedno słowo... Mam pańskie przyrzeczenie, że rozmowa nasza zostanie tajemnicą w obec osób trzecich.

— Zostanie, zostanie!.. ale tak pomiędzy nami powiem panu, że jesteś ideałem tegoczesnych zięciów. Po tej drodze zajdziesz daleko! Niech was! — grzmiał doktor mierząc Henryka od stóp do głowy.

— Dziwi to pana? a jednak postępowanie moje nie jest czem innym, jak tylko dalszem następstwem pańskich zapatrywań, głoszonych na początku naszej rozmowy — odpowiedział Henryk spokojnie patrząc bystro w oczy Eberhardtowi.

Doktor nie znalazł na razie słów, żeby odpowiedzieć na podobne wyzwanie, ale dał wyraz żywemu oburzeniu rzucając silnie księgą o stół.

— Ile lat liczysz sobie młody paniecu? — zapytał po chwili.

— Dwadzieścia siedm!

— Nie ma co mówić, diablo prędko nabyłeś praktycznego rozumu... W twoim wieku byłem jeszcze naiwnym chłopaczkiem — osłem kwadratowym pod tym względem. Ale cieszy mnie zobaczyć człowieka w właściwym świetle... wieszuję! i jeszcze raz cieszę się niezmiernie, a teraz do widzenia szlachetny młodzianie!

Ledwie Henryk zamknął drzwi za sobą, splunął doktor i drugą książką rzucił z całej siły w kąt pokoju.

— Miły kawaler! — rezonował doktor po odejściu Henryka i przechadzał się po swej pracowni. — Że się nie wstydził tak otwarcie przyznać do nizekzmej roli jaką odgrywa? A zdawało mi się patrząc w szlachetnie zarysowane oblicze, że to może jeden z niewielu, którymbym uwierzył. Ho, ho! mam ja swoją rację! nikomu i nigdy nie uwierzę, żeby mi wyglądał podobny do archaniola. Ale poczekaj mój paniecu! Niech no znajdę iskierkę życia u tej pani Rehfeld, wyleczę ją chociażbym tutaj miał siedzieć cały rok... dwa lata nawet! posiedzę... i pokrzyżuję twoje plany! Poczekasz sobie latami na sukcesję!

Henryk zbiegł tymczasem szybko po schodach i z uśmiechem zadowolenia przebiegał ścieżkę ogrodową pomrukując jakąś wesołą aryjkę. Sztuczka mu się udała i miał słowo Eberhardta, że będzie w willi Rehfeld.

Nie łamał sobie głowy jakich użyje środków, żeby skłonić doktora do dalszego zajęcia się panią Ewelina i zdał to wypadkowi, pewny, że w danej chwili wymyśli coś nowego. — Henryk zdziwił się znalazłszy Andzię w ogrodzie i do tego w towarzystwie młodego eskulapa, któremu doktor Eberhardt wcale nie dwuznacznie dał do poznania, że na czas wizyty panny Rehfeld chciałby go mieć na drugim końcu, jeżeli nie świata, to przynajmniej na drugim końcu wsi.

— Dobrze że jesteś! — zawołała Andzia ujrzawszy narzeczonego. — Dziwię się twojej odwadze, że tak długo mogłeś bawić w jaskini niedźwiedzia.

— Niedźwiedź ułaskawiony! — odpowiedział wesoło — przyrzekł mi na jutro swoją wizytę w willi Rehfeld.

— Jakim sposobem dokazałeś tego cudu?

Gilbert dotychczas niemy wmięszal się do rozmowy, dając wyraz swemu zdziwieniu.

— Pan doktor przyrzekł panu swoją bytność? — zapytał z niedowierzaniem.

— Nie inaczej i jestem pewny, że dotrzyma słowa.

— Pan doktor Gilbert, asystent tego pana Eberhardta — przedstawiła Andzia towarzyszącego jej młodzieńca. — Nie pojmuję tylko jak pan może wytrzymać z tym potworem?

— Przywykłem do mego pryncypała, ale nie mogę mu przebaczyć szorstkiego przyjęcia na jakie naraził panią.

Henryk spojrział badawczo na młodego lekarza, uderzył go bowiem nacisk z jakim wypowiedział ostatnie wyrazy odnoszące się do Andzi, poczem dodał:

— Spróbujemy wspólnymi siłami ugłaskać pana profesora. Będziesz pan zapewne towarzyszył Eberhardtowi do willi Rehfeld?

— Oczywiście że pan przybędzie! — dodała Andzia stanowczo. — Powiedziałam panu, że mam do niego nieograniczone zaufanie i polecę mamę opiece pana Gilberta. Prawda Henryku, że tak będzie najlepiej?

Henryk powziął również silne zaufanie do młodego eskulapa i uściskawszy go serdecznie za rękę rzekł od siebie:

— Oczekujemy pana niecierpliwie — a odwróciwszy się do Andzi dodał: — Teraz czas nam w drogę!

Z temi słowy podał ramię pannie Rehfeld i zaprowadził ją do powozu... Gilbert nie obyty z zwyczajami towarzyskimi nie pomyślał nawet o tem, że do niego właściwie należało odprowadzić młodą damę i stanął na miejscu jak wryty.

Andzia dziwnie spojrzała na młodego człowieka i z dąsem podała ramię Henrykowi, ale gdy raz jeszcze spoglądnęła z powozu w stronę gdzie Gilbert pozostał i ujrzała go nieruchomo stojącego z oczyma na nią zwróconymi, uśmiechnęła się z zadowoleniem i lekko skinęła główką na znak pożegnania.

Młody Kroneg badawczo spoglądał na całe zachowanie się swej narzeczonej i lekki uśmiech zagrał na wesołej jego twarzy.

— Miły chłopiec ten młody doktor! — wyrzekł mimochodem gdy powóz ruszył z miejsca.

— Prawda, bardzo miły! — odpowiedziała uradowana Andzia.

— Możecie w nim znaleźć przyjemnego towarzysza po naszym odjeździe. Cieszyłbym się niewymownie zostawiając wam kogoś, ktoby cokolwiek ożywił samotność i próżnię w willi Rehfeld.

— Jakiś ty dobry mój Henryku! — odrzekła Andzia i raz jeszcze wychyliła główkę z powozu.

Henryk wybuchnął szczerym śmiechem, ale zaraz się pomiarkował i powiedział:

— Nie jestem bynajmniej egoistą, zapytaj doktora Eberhardta a ręczę, że potwierdzi ci to samo, chociaż ma poniekąd słusność, że nawet tam gdzie się poświęcamy dla drugich, czynimy to najczęściej z pobudek osobistych. (C. d. n.)

Potęga prawdy.

(Ciąg dalszy).

Helena Althaus była najsilniej przekonana, iż mężczyźni dzisiejszych bardziej uderzają i zachwycają ramy, niż sam obraz. Stało się też jej jedynym życiem pragnieniem i zadaniem, badać najdziwniejsze mody kaprysy i przystrajać najkosztowniej ładną zresztą twarzyczkę i kibić jak utoczona, choćby te cuda-ctwa wcale nie licowały z jej rysami drobnymi, mi-łutkami, jak u aniołków rafałowskich. Teraz puściła się na wycieczkę, przerzuciła wszystkie znane magazyny modniarek, aż znalazła okropne czupiradło w tym rodzaju, o którym Roman wspominał, wróciwszy z nadreńskiej wycieczki: teraz nie wątpiła, że w tym dopiero kapeluszu serce jego odporne podbije i posiedzi na wieki. Było to coś, niby wieża, z kwiatów bezładnie napiętrzonych, nad czołem przelamana, z pod której wyglądała jej twarzyczka miniaturowa, jakby przygnieciona.

Z minką dumnego tryumfu w tem straszędzie, o którym każdy ze smakiem cokolwiek wyrobionym, pomyślałby, iż ubrano w niego za karę winowajczynię, aby ją wystawić na pośmiewisko ulicznej gawiedzi, wyszła z matką do miasta wyszukując li miejsca i przesmyków, któremi Roman był zmuszony przecho-

dzić o tej porze. W tym gmachu mieściło się jego biuro, tam dalej klub do którego należy i hotel w którym się stołuje.

Pewnego dnia spostrzegła nawet tuż przed sobą mężką postać wyniosłą, która niesłychanie przypominała barona Gehren. Ale nie, omyliła się widocznie. Człowiek jak on poważny i nawskróś salonowiec, nie mógłby przecież pomykać takim szalonym galopem, roztrzacając w prawo i w lewo przechodniów. Robił ten ktoś kroki istic siedmiomilowe, jak w owej bajce, o której słyszała w latach dziecięcych.

Pocieszała się, że co się odwlecze, przez to jej nie uciecze.

W rzeczy samej, wkrótce zetknęła się z baronem na rogu ulicy. Zanim jednak zdołała go zaczepić i przytrzymać, wskoczył do wozu tramwajowego... zadzwoniono... i Roman uciekł. Jak też mógł jej nie zauważyć? Dawniej miał wzrok tak bystry, a teraz na dwa kroki od siebie nikogo nie rozpoznaje!

Pani Althaus była podejrzliwą i coś niedobrego czuła w powietrzu. Odpowiedź Romana po owej herbatce familijnej dała jej wiele do myślenia. Cóż zyskała na gonitwie, na istnej obławie, urządzonej wespół z Heleną, aby dopaść Romana? Oto kilkanaście talarów za kapelusz ostatniej mody i rachunek olbrzymi z cukierni za ciasta i czekoladę, którą codziennie spijały, aby z tego punktu obejmować wzrokiem cały plac, na który wychodziły bramy gmachu sądowego, klubu i sali, gdzie Roman zwykł był jadać obiad.

Niejedną noc matka bezsennie przepędziła, zachodząc w głowę, co dalej czynić, jak łapać zmykającego, niby lis chartami poszczuty, kawalera? Gdy raz dodnia, w półświecie otworzyła na chybił trafił książkę do modlenia i tam uderzył ją ten frazes: „Wstając i legając, mówię i myślę o tobie” — powzięła natychmiast zamiar nieodwołalny.

Musi wykonać *coup d'état*, czem zmusi Romana do solennych oświadczeń i dopnie celu upragnionego.

O wiele wcześniej, niż to było u niej w zwyczajach, czekała już na męża w jadalnym pokoju, podczas gdy Helena ćwiczyła się w salonie, mordując jakieś najnowsze walce strausowskie.

Wśród tych dźwięków hałaśliwych i nie grzeszących zbytnią czystością tonu, wszedł radea na ranne śniadanie. Najprzód schwycił się za głowę, następnie wzrokiem zamglonym, bez życia, spojrzął na żonę, z lekkim odcieniem zdziwienia. O tej godzinie nigdy jej nie widywał.

— Chciałabym z tobą pomówić — tłumaczyła swą obecność radezynie.

— Wyjątkowo mamy jedno i to samo życzenie — odrzucił, a po białych ustach przemknął uśmiech gorzki i pełen ironji. — I ja potrzebuję rozmówić się z tobą stanowczo.

Znużony upadł na najbliższe krzesło, zgięty w pół, jakby go przytłaczał ciężar nad siły.

— Idzie mi o przyszłość całą naszej Heli — cedziła radczyni zwolna. — Jej stosunek z baronem Gehren musimy uregulować. Trochę ostygł w zapalchach po powrocie z wód nadreńskich. Zdaje się również przypuszczać, że nie moglibyśmy jej stosownie wyposażyć. Trzeba mu zaimponować i przekonać, że żyjemy w dostatkach i stać nas na wszystko.

Radca wzruszył miłosiernie ramionami.

— Popelniasz błąd — rzekł tonem ostrym — wspólnie z wielu osobami, sprytnymi nawet i przebiegłymi. Masz innych za głupców, których lada czem można ośnić i puścić im pod nos tunana. Sama potrafisz otaksować majątek twoich znajomych prawie na fenigi, a ludzisz się nadzieją, że tak mądrego ptaszka jak Gehren złapiesz na plewę.

Wyprostowała się dumnie i odrzuciła lekceważąco:

— Przywykłam od dawna, że cokolwiek proponuję, przyjmujesz z niedowierzaniem i krytykujesz z gryzącym, dotkliwym sarkazmem. Jak dotąd atoli tak i na przyszłość w niczem zdania nie zmienię. Najprzód zaś śmiem prosić o głos i wolność wypowiedzenia, o czem myślę i z czem tu przychodzę. Trzeba koniecznie i z Makssem coś postanowić. Wiem na pewno, że dotąd utrzymuje stosunki z tą jejmościanką zręczną i przebiegłą, z Walterówną. Nie troszczyłabym się zresztą przedmiejską miłostką, z jakąś tam szwaczką, gdyby mnie nie trwożyła miękkość w usposobieniu Maksa, brak wszelkiej energii w charakterze i niepoprawne marzycielstwo. Musimy zatem obejrzeć się za stosowną partją dla niego. Najlepiej będzie dać świetny bal, gromadząc w naszym salonie całe towarzystwo, które popowracało z wód lub dóbr własnych.

Mąż potrząsł głową.

— Powinniśmy wręcz przeciwnie ograniczyć się ile możliwości, zaprowadzając gdzie się da oszczędności.

Radczyni szorstko zapytała:

— Ciekawam w czem i dla czego?

— Najprzód w służbie — odpowiedział. — Tyle sług nie spotkasz u żadnego z urzędników.

— I kogoż chciałbyś oddalić? — zmarszczyła gniewnie czoło. — Może kucharkę? Nie mogę przecież psuć sobie rąk i twarzy nad ogniem! Być przez pół dziewczką, a przez pół damą salonową. Lokaja? Mam więc na przyszłość sama gościom drzwi otwierać i sama ich sobie zapowiadać? Pokojówkę? Już i tak upadłam pod ciężarem nawału obowiązków; przed południem wizyty odbierać lub oddawać; co wieczór iść gdzieś lub gości u siebie podejmować; w dodatku być damą w kilku towarzystwach dobroczynności! Gdzież chwilka czasu, aby dla mnie i dla Heli obmyślać i przygotowywać toalety?

Machnął niecierpliwie ręką:

— Wszak bierzesz wszystko gotowe z magazynów mój! Świadczą o tem rachunki przerażające!

— Trudna rada! — głos jej drżał oburzeniem. — Dziś wcale inne wymagania. Minęły bezpowrotnie owe czasy patryarchalne, kiedy panience wystarczała skromna, biała sukienka. młode zaś mężatki brały w sukcesji po prababuniach robrony adamaszkowe. Niech się która pokaże trzy razy w jednej toalecie, zaraz panowie szepczą z uśmiechem złośliwym: „No! ta pewnie w tej sukni na świat przyszła!“ Młodzież dzisiejsza najwięcej na strój uważa. Obeznani z modą i wszelkimi teżże finezjami, jakby sami byli krawcami, lub pannami u modniarek! Czyż na balach nie odznaczają i nie otaczają takie tylko danserki, których strój odznacza się bogactwem i najwyższą elegancją?

— Przyznaję, iż chcąc zbyć towar, wypada takowy przedstawić w świetle najkorzystniejszym — wtrącił złośliwie — skoro jednak tak ci na sercu wydanie zamąż Heleny, powinnabyś właśnie oszczędzać dla niej na posag, a choćby na wyprawkę. Po co takie zbytki, jak sprawianie nowych serwisów porcelanowych do herbaty i czarnej kawy? Na co srebro deserowe i małe łyżeczki wyzłacane?

— Serwis dawny był już strasznie wytłuczony i... nie modny. Do nowych zaś muszelek, małych jak lupinka z orzecha, nie można przecież było użyć naszych łyżeczek wielkich i niezgrabnych, jak łopaty.

— Unikłoby się tych wszystkich wydatków niepotrzebnych, gdybyśmy się trochę usunęli z towarzystwa i tyle osób u siebie nie przyjmowali! — rzekł z naciskiem.

— Tylko przestań gderać i moralizować, proszę usilnie! — Twarz jej pozerwiała ze złości dotąd tłumionej po części. — Musimy ucześnieć i bywać wszędzie, a więc i u siebie przyjmować.... winniśmy ponosić tę ofiarę dla naszych dzieci.

— Aureljo! — upominał tonem czułym i łagodnym. — Właśnie powinność święta wobec dzieci nakazuje nam oszczędzać się i poskramiać w wydatkach. Od dawna nad stan żyjemy. Zjadamy nietylko dochody, ale i niewielki, na złą godzinę odłożony kapitałik.

— Czyż ja mam być temu winną? — wybuchła nareszcie z całą gwałtowną bezwzględnością. — Dość smutno, żeś się nie umiał postarać o stosowne dla mnie utrzymanie.

Na jego policzki trupio blade i jakby nabrzękle, wystąpiły dwie krwawe plamy:

— Jakżeś mi jednak była rada i nieledwie po rękach całowała, gdy ci się oświadczył po śmierci twojego ojca pułkownika, kiedy matce nic nie pozostało, prócz lichej wdowiej pensyjki, a brat, pan gwardzista, narobiwszy długów, nie widział innego wyj-

ścia, jak wpakować sobie w pustą mózgownicę trochę ołowiu.

— Co za brutalne okrucieństwo! — podniosła w górę załzawione oczy, łamiąc ręce tragicznie. — Wygrzebywać z popiołów nieszczęścia, które rodzinę twojej żony spotkały, odnawiać rany w sereu mojem, przez czas cokolwiek zabliźnione! Szkoda jednak psuć sobie piersi — wydeła usta pogardliwie. — Uczuć delikatnych nikt nie wleje, jeżeli się z niemi nie zrosiliśmy i nie przesiąkli od lat dziecięcych — mówiła dalej tonem lekceważącym — kończmy zatem czem prędzej miłą rozmowę. Skoro na jeden nędzny bal dochody ci nie wystarczają, trzeba sięgnąć do kapitału... Sprzedałeś przecież akcje, wzięte na przedsiębiorstwo cukrownicze?

— Z nader wielką stratą.

Na ostatnie słowa bynajmniej nie zwróciła uwagi:

— Chwała Bogu, że pieniądze są w domu! Będą nam wkrótce potrzebne koniecznie!

— Potrzebne wam będą — skinął smętnie głową — ale na coś ważniejszego, niż głupie bale!

— A więc radź inaczej, skoroś taki mądry! — zerwała się na równe nogi, miotana wściekłym gniewem — kiedy głupstwem nazywasz wszystko, co ja wymyślę! Przecież radzić to twoje *métier*! — dodała ze zjadliwą ironją. — Postaraj się o stosowne wydanie zamąż Heli, o bogatą pannę dla Maksa, aby raz stanął na nogi i przestał siedzieć u nas w kieszeni! A szczególnie, nie rób takich min pogrzebowych, jakbyś był rzeczywiście starcem zgrzybiałym. To woda na młyn młodszych w randze od ciebie. Niejeden gdzieś szepcze pod nosem: „Kaducznie się poddał radca Althaus. Czas wielki, żeby nam się usunął z drogi!”

Stała nad nim pochylona, istna Eumenida! Włosy nieuczesane wymykały się z pod czepka rannego w kosmykach potarganych; na twarzy brwi gniewnie ściągnięte, nos szpiczasty i usta wąskie a drgające, zdawały się trzema ostrzami, godzącemi prosto w piersi męża.

Wśród głuchej ciszy, która teraz między małżonkami zapanowała, odzywały się wesołe tony walca i słowa bezmyślne libretta operetkowego, wygłaszane piskliwym sopranikiem Heleny:

„Tak piękną jak moja Lota.

„Jest chyba nadziejska istota!”

Na jego skroniach zapadłych, nabrzmiały grube żyły. Skrzywił usta, lecz tym razem nie do uśmiechu mu było.

— Może prędzej wam wszystkim zejść z drogi, niż się spodziewacie! — szepnął jakby do siebie.

Wyszedł z pokoju, a po chwili wrócił, kładąc na stół przed żoną dwa rulony złota.

Oddalił się natychmiast, nie tknąwszy śniadania. Żona jednak tego nie zauważyła: nawet i to jej nie

uderzyło, że zatoczył się jak pijany i musiał schwytać się drzwiami do sieni prowadzących, aby nie upaść. Dopiero oprzytomniawszy cokolwiek, poszedł dalej.

Ona była już wyłącznie zajęta obmyśleniem balu, który postanowiła wydać. Podczas obiadu szczególne zabawy dotyczące stanowiły jedyną treść rozmowy. Wydawanie rozkazów rozpoczęła od męża.

— Gotfrydzie! przyslij mi też na całe poobiedzie twojego pisarza. Podyktuję mu listy zapraszające. Będzie około sto osób. Sama śmietanka!... ale i o sferze bankierskiej nie zapomniałam, którą polecam waszym względem i uwadze szczególnej... dowiecie się później dla czego! Wieczór będzie z tańcami, rzecz naturalna... nie tak nie łączy młodzieży płci obojej i bardziej do czułych wyznań nie ośmiela. Inaczej prezydent sądu, gotówby jeszcze staruch nieznośny, sprzątnąć nam z przed nosa głównego gościa i zasadzić do wista Romana... Maksiu, zajmij się drukowanym porządkiem tańców i wszelkimi przyborami do świetnego kotyljona. Pomyśl i o czem zabawnem, byle nie o czapkach bladeńskich! Tego wiem, że Gehren nie lubi. Ty poprowadzisz kotyljona i to z Astą Löwenstern.

— Gdzie ja się tam do niej docisnę! — machnął ręką Maks — ze wszech stron otoczona...

— Więc i ty ją otaczaj i nadskakuj! — zawołała matka surowo. — Spodziewam się, że jako syn domu, będziesz miał prawo pierwszeństwa przed całą rzeszą oficerków i referendarjuszów. Teraz w modzie karty z menu, tak przy obiedzie jak i przy kolacji, z obrazkami u góry. Mógłbyś kilka takich wymalować dla gości najznakomitszych. Dla Asty na przykład: jej nowy pałac, wraz z parkiem. Byłaby to miła i szarmancka niespodzianka.

— Cóż znowu! — mruknął syn niechętnie. — Taki gmach wspaniały, jak pałac Löwensternów, na jądłospisie! Możliwy się rozchorować na niestrawność, patrząc tylko na tę imponującą masę kamieni!

Matka na szczęście tego nie dosłyszała. Myślą gonila lody palące się, a *Ja Nesslerode*, i inne cuda sztuki kucharskiej i cukierniczej.

Przez cały tydzień na chwilę nie odetchnęła, nie spoczęła, pływając w swoim żywiole: z całym namaszczeniem oddając się ciężącym na niej obowiązkom.

Nakoniec wieczorem w wigilję balu mogła sobie pogratulować, iż wszystko wypadnie znakomicie, że godnie odpowiedziała wielkiemu zadaniu. Wiedziała, że bażanty z piórami naturalnymi na ogonku i koronką papierową, tak samo będą dumnie paradowały na stole jadalnym, jak tarcza herbowa baronów Mühlstein nad drzwiami jej buduaru.

Wyszła trochę na werandę, aby zaczerpnąć świeżego powietrza po tyłu trudach.

Helena stanęła na progu salonu w balowej toalecie, którą przymierzała. Kolor atlasu był najmo-

dniejszy *cendre de rose*. Zrobiła przed matką lekką piruetę.

Pani Aurelja obejrzała córkę bystro od stóp do głowy.

— Jesteś zachwycająca! *irrésistible!* — wykrzyknęła z dumą.

— Szkoda tylko, że suknia nie ubrana piórami! — skrzyknęła noskiem Hela — o wiele modniejsze i od kwiatów mniej pospolite.

— Na pióra jeszcześ za młoda — wtrąciła sentymentalnie matka. — Poczekaj z tem, gdy zostaniesz mężatką.

Helena zachichotała wesoło:

— Ginę z niecierpliwości, żeby jak najprędzej donieść koleżankom z pensji: „Helena Althaus i baron Roman Gehren narzeczeni.“ Dałabym się z nim ofotografować i każdej posłała fotografię. Toż to by mi zazdrościli! — dodała z radością złośliwą.

— Bo też i będą miały czego! — potwierdziła matka tonem uroczystym. — Gehren jest z wielkiego rodu. Spełnią się moje życzenia najtajniejsze, gdy znowu wejdiesz w te sfery, do których tęsknię wiecznie, od chwili... mego mezaljansu. O twoją przyszłość jestem zupełnie spokojną. Można zaufać gładkości i wysokiej dyplomacji, jakie Roman posiada. On potrafi płynąć przez życie, omijając starannie skały podwodne.

Nie przeczuwała nieboraczka, że i ona wraz z córeczką należy obecnie do owych skał, które się z dala opływa.

Radca z kapeluszem w rękę przemknął cicho wzdłuż salonu.

— Wychodzisz? — zapytała od niechcienia pani Aurelja.

— Chcę zaczerpnąć trochę świeżego powietrza — odrzucił głosem znużonym. — Ciągły tartas w domu, rozstraja mię niesłychanie, a woń kwiatów odurza jakby zabójczy narkotyk.

— Musi jednak tatko przyznać — wykręciła się Helena z gracją przed dużym zwierciadłem, oglądając swoją zgrabną osobkę na wszystkie strony — że nasz apartament, dzięki całym klombom z krzewów i kwiatów podzwrotnikowych, zmienił się nie do poznania, w jakiś pałac czarodziejski!

Wzrokiem obumarłym powiódł smutno po salonie, niby płak raniony śmiertelnie.

— Mogę tyle tylko powiedzieć, że wepchałyście w kąty najciemniejsze — głos mu dźwięczał dziwnie ponuro — te biedne, zmaltretowane rośliny, znoszące wszystko z niemą rezygnacją, kiedy im do życia koniecznie ciepła i światła potrzeba.

Radczyni nie miała czasu tym razem zacząć zwykłej z małżonkiem filipiki; zjawił się bowiem ze strony przeciwnej Maks, ów marzyciel niepoprawny, owa chodząca jej zgryzota! Przynosił, posłuszny roz-

kazom matki, kilka *ménus* namalowanych. Na jednej winiecie był chleba hochenek i solniczka, na drugiej tłusty, bosy dzieciak w koszulce, zajadający gruszkę z wielkim apetytem i nieklamanem zadowoleniem.

Straciła ochotę oglądać resztę. Z piorunującym spojrzeniem na pospolitego bazgracza, który niestety, był jej synem, znięła wszystko razem w jeden kłęb i rzuciła z furją w kąt, daleko od siebie.

— Dzięki niebu! — rzekła pogardliwie — że nie spuszczając się na ciebie, postarałam się o paryskie *ménus*, z francuskimi wierszykami i owocami zagranicznymi.

Maks wysunął się i znikł za portjerą razem z ojcem.

* * *

Jak gdyby stąpał po węglach żarzących, a nie po gładkim asfalcie, tak żywo biegł Maks przez place i ulice śródmieścia, zabudowane w sposób najoryginalniejszy i w stylach najróżnorodniejszych.

Obojętnie salutował damy wielkoświatowe, snujące się po promenadzie w kapeluszach, tak jak budynki miejskie, przypominających rozmaite epoki i wszelkie narodowości. Nawet i czarna koronkowa mantyla hiszpańska, malowniczo na główce kwiatem granatu podpięta, ukazywała się wśród tłumu motylkowego. Wstręt w nim niemal budziła ta maskarada bez masek na ulicy i jeszcze przed słońca zachodem.

Biegł coraz prędzej, by stracić z oczów aleje i akacje w koszykach, niby niemowlę w stoleczku na kółkach, w którym uczy się chodzić i nie słyszeć więcej frazesów oklepanych o najświeższych modelach, lub słówek obosiecznych, któremi języczki tych dam szarpały i niby koła młyńskie, na proch ścierały sławę bliźniego.

Tyle w tych dniach doznał przykrości, tyle wycierpiał, że tęsknił niewymownie, rwał się duszą całą do chwili błogiej, kiedy będzie mógł uzalić się przed jedyną istotą, z nim szczerze współczującą. Skarga jest i będzie najwyższą pociechą dusz słabych, charakterów bez energii i wiecznie niezdecydowanych.

— Prosiłbym na słówko, jeżeli łaska — zatrzymał go ktoś nagle.

Przed nim stał Gehren, z nieodstępnym, drobniutkim Löwensternem, wirującym obok wspaniałej postaci barona, niby wierny trabant około słońca. Z grzecznością wyszukaną, ale tonem tak lodowatym, jakby między nimi przepaść bezdenna stała i on z Maksem przez tubę z daleka rozmawiał, zwolna wycedził:

— Muszę niestety wyrzec się wielkiej przyjemności, jaka mnie czekała w salonie czcigodnych rodziców pańskich. Nie mogę korzystać z ich łaskawych zaprosin, zmuszają mię bowiem interesa familijne do wyjazdu natychmiastowego. Wytłumaczę się pisemnie, dziękując za zaszczyt wyświadczony, proszę jednak

i pana, ażebyś raczył rodzicom żal mój szczerzy oświadczyć.

— Spełnię pańskie polecenie — odpowiedział Maks tym samym tonem, dotknąwszy z lekka czapczki wojskowej dwoma palcami.

Gehren uchylił od niechcenia kapelusza i oddalił się pod ramię z Detlewem, wielce pomieszanym tą drażliwą eksplikacją. Dążyli ku klubowi. (C. d. n.)

Plotki lwowskie.

— Byłeś pan w teatrze?

— Kiedy, łaskawa pani?

— Na benefisie Lubicza; przedstawiono nową komedję Abrahamowicza: „Oddajcie mi żonę.“

— Tak pani, byłem.

— Przecież raz znalazłam naocznego i wiarygodnego świadka. Siadaj pan tu koło mnie i opowiedz mi o całym przedstawieniu, o komedji samej, jej autorze, grze artystów, owacjach dla beneficjanta, a zwłaszcza dla autora.

— Hm, hm, za wiele pani naraz odemnie żądasz, tem bardziej, że do moich obowiązków tygodniowych należą przedewszystkiem obecnie plotki karnewalowe.

— Uwalniam pana na dzisiaj od nich, a proszę za to o sprawozdanie teatralne. Słucham pana.

— Niech będzie i tak, zastrzegam się jednak z góry, że ani o komedji samej, ani o zasługach autora, ani o grze artystów mówić nie będę.

— Tylko...

— Tylko o tem, co stanowiło cechę tego przedstawienia -- o owacjach. Co do samej komedji, gry artystów i t. d. tyle o nich napisały nasze dzienniki, że poodrzucawszy wszystkie frazesy, obstonki, zastrzeżenia i t. p. michałki stylistyczne, mogłaś sobie pani łatwo o nich wyrobić zdanie. Pomijam zatem ten przedmiot, a zdążam do korony przedstawienia.

— Jestem bardzo ciekawa...

— Wiem o tem, i dlatego ciekawości pani na próbę wystawiać nie myślę. Otóż jak już z dzienników naszych musiałaś się pani dowiedzieć, ofiarowano panu Abrahamowiczowi, autorowi komedji, złote pióro, rzekomo od „wdzięcznej publiczności lwowskiej“ pochodzące.

— Jak to rzekomo?

— Rzekomo, łaskawa pani, gdyż „wdzięcznej publiczności lwowskiej“, zaręczam pani, ani się nie śniło nawet, w ten sposób uczcić pana Abrahamowicza. Najlepszym tego dowodem, że pióra tego nie wręczono sympatycznemu zresztą autorowi jawnie, przez osobę, któraby publiczność lwowską reprezentować mogła, lecz z orkiestry — bezimiennie.

— Jakto, czy pan możesz mieć za złe publiczności teatralnej, że sympatycznemu komedjopisarzowi,

który jej tyle wieczorów uprzyjemnił i rozwiewając troskę dnia całego do szczerego zmuszał ją śmiechu, czy masz pan jej to za złe, że chcąc mu się odwdzięczyć ofiarowuje mu upominek...

— Nie entuzjazmujmy się tylko łaskawa pani. Powoli. Gdyby chodziło o nie więcej, jak tylko o upominek, wierzał mi pani, że byłbym pierwszym, któryby do tego rodzaju uznania się przylażył. Gdzie jednak satelici autora, czy naiwni przyjaciele dopuszczają się śmieszności i ofiarowują p. Abrahamowiczowi złote pióro, tam nie mam dosyć słów oburzenia na skarcenie takiego postępku.

Nie zaprzeczam panu Abrahamowiczowi talentu komedjopisarzkiego i towarzyskiego, nie zaprzeczam, że cieszy się sympatją zdobytą cnotami towarzyskimi i względami publiczności, żeby jednak cnoty te nagradzać złotem piórem, berłem niejako nad współczesnymi pisarzami, na to trzeba więcej niżeli cywilnej odwagi, której nie chcę nazwać po właściwym jej nazwisku. Hola, moi panowie! Cóż ofiarujemy prawdziwie zasłużonym? Jakże uczymy uczonych, którzy w każde słowo swoje kładą mądrość całych wieków, jak uszanujemy ludzi, którzy więcej przemyśleli niż cała publiczność teatralna razem wzięta, jeżeli za lada fraszkę sceniczną napisaną dla rozbudzenia chwilowego śmiechu, autorowi jej dajemy berło autorskie.

Cóż zostanie dla Jeżów, Supińskiego, Kraszewskich, Sienkiewiczów i tylu prawdziwie znakomitych i zasłużonych polskich pisarzy?

— Je też pan bardzo surowym, myślałam żeś pobłażliwszy...

— Tak pani, gdzie chodzi o żart niewinny, wady jednostki, nawet błędy ludzkie, tam jestem zawsze pobłażliwym, gdzie jednak przesada dochodzi do śmieszności, gdzie manja owacyjna ogarnia całe koła społeczeństwa i zamienia je w towarzystwa wzajemnej adoracji, tam jestem nieubłagany. — Sądzę, że teraz zgodzisz się pani ze mną i przyznasz, że miałem słuszność piorunując na „wdzięczną publiczność lwowską“?

— Raczej na przyjaciół pana Abrahamowicza, chciałaś pan powiedzieć...

— Nie pani, na publiczność, gdyż ona takich przyjaciół z siebie wydaje. Dixi.

Plotkarz.

Korespondencja redakcji.

Wna O. Ż. I. Prosimy.

Wna St. L. w Sanoku. Przyznajemy słuszność Wnej Pani i odtąd krystalografów umieszczać nie będziemy, chyba z jaśniejszym określeniem.

Wny J. M. w Oświęcimie. Odpowiedź powyżej.

Wny Leliwa pod Krakowem. Dziękujemy serdecznie.

Wny W. Ros. w Tarnu. I ta próba nieudatna.

BIURO

wywiadowczo-nauczycielskie

ZUZANNY KRZYŻANOWSKIEJ

we Lwowie, ul. Wekarska l. 4.

poleca

Nauczycieli i Nauczycielki prywatne, różnego stopnia wykształcenia, Bony: Polki, Niemki, Francuzki, oraz pośredniczy w ich sprowadzaniu. Oehmistrzynie i Panny Służące z najlepszymi rekomendacjami.

Przeg'adu Społecznego Nr. 3.

opuścił prasę i zawiera: Sytuacja polityczna na półwyspie Bałkańskim T. T. Jeża; Polska w czasie wielkiej francuskiej rewolucji przez B. Limanowskiego; Położenie włościan i własności ziemskiej w W. Ks. Poznańskim przez K. D.; Z pamiętników więźnia stanu lat ostatnich przez Florjana Bogdanowicza; „Na dnie“ nowela Iwana Franko; Sprawozdania literackie i kronika. Kwartalnie 1 zhr. 75 c. Adres wyd. Lwów ul. Jagiellońska l. 16.

CHEMICZNE LABORATORJUM

aptekarsza i chemika

ADOLFA MUSSILA

we Lwowie ul. Karola Ludwika l. 7,

przyjmuje wszelkie rozbiory chemiczne

i poleca między innymi następujące wyroby.

Wodę atenską z Chiną przeiw łupieży we włosach. Flakon 7 et. **Wodę z kwiatów konwalii** (czyli puder w płyn) usuw wszelkie plamy i pieg. , twa zy. Flakon 70 et **Puder siojkowy** do twarzy, bez żadnych metalicznych d mieszek, a wybornie przylega. Pud lko 50 et. **Mączka ryżowa** (Poudre de riz) do włosów i twarzy. Pud lko Zabędzikiem 1 zhr. Zabędziki po 35 et i wyżej **Wodę do usi. Mentynę** i **Esencję miętową**, roślinny proszek do zębów a te i t p. do konserwowania i st, dz a seł i zębów **Mydła toaletowe** w różnych zapachach od 15 et. **Mydło dziegiowe Dra Bergera** przeciw wyrzutom skórnyu wszelk ego rodzaju 3 et. **Perfamy** własnego wyrobu i z graniczne od 20 et. i wyżej. **Wodę kolońską** wym enitą po 30 i 50 et

Z uszanowaniem **A. MUSSIL.**

Zamówienia z prowincyi uskutecznią się odwrotną pocztą.

BIURO**WYWIADOWCZE****KANTOR SŁUG****J. Mittiga**

ul. Jagiellońska l. 12

i Rejtana l. 1

pośredniczy w kupnie i sprzedaży **dóbr**, dzierżawy i realności miejskich.

Poleca służbę z **do** **wremi** poleceniami każdej kategorii tak w mieście jak i na prowincji.

Oraz załatwia wszelkie zlecenia w zakres biura wchodzące. 4—6

Pracownię sukien damskich

poleca

Paulina Zakrzewska

przy ulicy Jagiellońskiej l. 16. (W podwórzu na prawo.)

Wszelkie zamówienia uskuteczniają się najszybciej i najmodniej podług najnowszych żurnali, a co najważniejsza po najtańszych cenach, zamówienia z prowincji odsełają się pocztą.

Polecając się łaskawym względem Szanownej P. T. Publiczności dziękuję zarazem za dotychczasowe poparcie. 1—10

Z poważaniem

Paulina Zakrzewska.**Pierwsza Związkowa**

pracownia Robotników stolarskich

„ZORZA“

ulica Kopernika l. 17.

Po kilkoletniej egzystencji dało dowód, że roboty wykonane w tej pracowni, wchodzące w zakres stolarstwa wykonywały się jak najakuratniej i na czas oznaczony.

Polecając się łaskawej pamięci Wysokiej Szlachcie i Wielebnemu duchowieństwu, oraz wszystkim interesowanym, dla których wyrób stolarski jest niezbędnie potrzebny, a tembardziej trwałe i eleganckie. Upraszamy o jak najliczniejsze zamówienia tak na roboty budowlane jakoteż meblowe i urządzenia sklepowe, z których się sumiennie i rzetelnie na czas oznaczony wywiązujemy, oraz i ceny najprzystępniejsze. Z poważaniem

5—6

*Dyrekcja.***PIERWSZA KRAJOWA PRODUKCJA****GŁÓWNY SKŁAD NASION****TEOFILA ŁUGKIEGO**

w MELNIE, (poczta Strzeliska)

poleca

6—?

wszelkie Nasiona: **JARZYN, TRAW, LUCERNY** francuskiej, **BURAKÓW** pastewnych, **MARCHWI** olbrzymiej w znacznych zapasach z gwarancją za siłę kielkowania, czystość, prawdziwość podanych odmian,

tudzież obfity wybór:

Nasion kwiatów jednorocznych, zimotrwałych i wazonowych, Sadzonki olbrzymich Szaragów, Pflance karafiolów, Drzewka owocowe i krzewy po bardzo miernych cenach.

Cennik Główny na rok 1886 odseła na żądanie franco.

Nakładem Drukarni Polskiej

opuściły prasę:

Rozprawy w sejmie pruskim nad kwestją polską.

Dosłowny przekład ze stenogramu urzędowego.

Cena egzempl. 1 zhr.

Nabywać można w Drukarni Polskiej przy ul. Jagiellońskiej l. 16 i we wszystkich księgarniach.

